

O RÓŻNOŚCIACH

CZEŚĆ 12

Zaczął się Nowy Rok. Który to już, prawie nie pamiętam. Urodzin nie obchodzę. Skrzętnie zliczać minione lata, w sklerotycznej otoczce, to niełatwe przedsięwzięcie. Co przyniesie? Kto wie? Google wchodzi w czwartą dekadę swojego „życia”. To tak jakby w średni wiek u ludzi. Patrząc jednak na niego z technicznego punktu widzenia, to już staruszek według polskiego nazewnictwa, senior według amerykańskiego, bo tam jest jego siedziba. Co mu pisane? Też nikt nie wie. A co z wojnami? Która się skończy, a która zacznie? Nie ma mądrych. Natomiast mędrkujących jest wielu. Kto zasiądzie na fotelu prezydenckim. Tu jest pół na pół. Więc połowa zgadnie, a połowa nie. Czy Polaków przybędzie, czy ubędzie? Statystyki są nieubłagane i muszą przyznać szczerze, że ubędzie. Dodam krótko, że mięso do niczego, herbata nie nadaje się do picia (w saszetkach), w żelu bakterie, jakieś tam kiszonki to trucizna, Władimir Putin straszy dalej, w przyprawach mnóstwo chemii, niektóre ryby to „syf”, złoty „gaśnie w oczach”, nieobliczalny Donald Trump, Wspólnota Europejska dołuje, wszyscy się rozpychają na zewnątrz i wewnątrz, nie wiadomo, co jeść, bo po wszystkim rak wychodzi, globalna bieda coraz większa, ale o niej niezbyt głośno, świat goni zdaje się w jakąś dziurę (chyba czarną). Automaty go do niej wpędzą.

Bałamucenie ludzi przez media przybrało już rozmiary horrendalne i dalej postępuje. Oglupia się ich wszelkimi sposobami. Wskazaniom, co się powinno, a co nie: nigdy nie dolewaj, nie jedz, nie pij itp., nie ma końca. Od niezliczonych objawów chorób opisywanych przez trudnych do zidentyfikowania, bo często niepodpisanych, redaktorów można dostać rozstroju nerwowego. To wyspecjalizowani w takich bzdurach „donosiciele” zatrudnieni w rozmaitych portalach znęcają się nad innymi, przekazując wszem i wobec nieskończone banialuki. Staruszkom to już zwisa, ale młodzi wpadają w tarapaty. Już nie wiedzą nie tylko, co jeść, ale jak jeść, zadając tysiące niemądrych pytań. Psychicznie zaczynają być niewydolni. Choroba smartfonowa sieje spustoszenie w umysłach coraz większej części zdeorientowanych ludzi. Na ulicach można spotkać coraz częściej niezrównoważonych psychicznie, delikatnie ich określając. Ostatnio nazwani zostali „z zaburzeniami psychicznymi” (dawniejsi po prostu świry bądź wariaci). Od bałwańskich informacji w głowie się kręci. Tylko nierozumni mogą to wytrzymać. Na takich „używkach” wyrasta nam kolejne pokolenie. Znalezienie czegoś mądrzejszego w Internecie graniczy z cudem, choćby dlatego, że najbardziej miałkie sprawy ukazują się na pierwszych stronach. Przeszukiwanie ich zabiera tyle czasu, że nie warto tego robić, musowo oglądając po drodze brednie, pierdoły, brak szacunku i kultury, ubóstwo czy kalectwo ducha, durnotę, prostactwo i setki im podobnych. Takich czasów się doczekałem. To takie trochę nieszczęście. Trudno.

Racja. Kto ma rację? Jeden uważa, że on ma rację, a drugi, że on też ma rację. Mówią oczywiście o tej samej sprawie, ale racje mają różne. Wobec dwóch odmiennych zdań, kto ma rację? Tak na zdrowy rozsądek, głupi nie powinien mieć racji, tylko mądry. W takim razie, dlaczego do władzy dobierają się też ci pierwsi, i to w taki sposób, że wybierający ich nie wiedzą, że tacy rzeczywiście są. Jeśli są głupszy, powinni być eliminowani. Nikt chyba nie chce być rządzony przez głupich. Patrząc władzy na ręce, wyraźnie widać, że są jednak głupszy mądrzy i mądrzy głupi, albo inaczej: głupsze mądrale i mądre głuptaki. Można ich uśrednić, mówiąc, że tacy czy tacy, to na jedno wychodzi. Hm, jak tu wybrnąć z tej rozpoczynającej się

gmatwaniny. Struktura ludzkiego mózgu jest nader skomplikowana i najwięksi „mózgowcy” do dzisiaj nie mogą się w niej połapać. A jeżeli tak myślą, to są albo mądrzy (ich zdaniem), albo głupi (zdaniem innych). Nie mogę tu nic ciekawszego wydumać. Wiele książek na ten temat wydano i jest tak jak drzewiej bywało. Nic się nie zmieniło.

Wiele doniesień naukowych kończy się stwierdzeniami, że konieczne są dalsze analizy. Trudno by się spodziewać innych zakończeń. Po to stworzono tysiące, a może już miliony instytutów badawczych, żeby badały bez końca. No i badają. Jedne na tak, inni na nie. Przykładowo: jedz tłuszcze, bo zdrowe, albo, nie jedz tłuszczy, bo niezdrowe. I tak bez końca. Zależy, przez kogo są finansowane. Robotę zapewniają sobie w ten sposób też do końca świata.

Z Internetem to mam ubaw. Ściślej z internautami. Proponują jakieś dodatki do kawy, które ponoć niszczą komórki rakowe w jelitach. Dogadzających są miliony. Pół biedy jak dopieszczają się sami. Zatrzymam się na piwach. Widzę od pewnego czasu, że browarnicy schlebiają coraz bardziej złym gustom. Mącą im w głowach niezliczeni blogerzy. Dodają do części piw tyle, że można mieć wątpliwości, a raczej być pewnym, że one już z piwem nic wspólnego nie mają, poza nazwą To jakieś dziwne napoje. Są też bezalkoholowe. Inni dokładają soki owocowe, Pepsi, Mirindy, nektary, miód i wiele innych. Na jednym z portali napisali, że dodatkowo dodaje się (to oryginalna pisownia) skórki owoców południowych. Szkoda mi tu zajmować miejsce innymi suplementami psującymi piwo. Lepiej wspomnieć, czego nie dodają. Jak dotychczas, nie zoczyłem skórek z pomidorów i ogórka, ziemniaków bądź rzodkiewek, łupin z orzechów, zmielonego pieprzu, pestek dyni i wiśni. Piszą, co zrobić, aby piwo lepiej smakowało, co można do niego wycisnąć, a raczej bym powiedział wcisnąć. Zdaniem producentów wszystkie te piwa są znakomite, co zrozumiałe, bo kto by wypychał złe. Bezalkoholowego piwa nie wypiję.

Moda na paleo. Pod wszelkimi postaciami. Takie paleo, siakie paleo. Najwięcej o diecie. Mało natomiast słyhać o higienie paleo. Wprawdzie o higienie w tak odległych czasach nic nie wiadomo, ale musieli coś tam z sobą robić. Może w ogóle się nie myli i dlatego byli zdrowsi? Kto to wie. Proponuję odstawić wszelkie Luksje, Palmolivy itp. i myć się jedynie zwykłym, szarym mydłem, jak to jeszcze kilkadziesiąt lat temu robiono, ograniczając się do rąk i twarzy, a pozostałe części zostawić w spokoju na dłuższy czas, według uznania. Nie sugeruję, że należy unikać wody, w ogóle się nie myjąc.

Ludziom żyje się różnie. I nie chodzi mi tu o bogactwo czy biedę. Zastanawiające dla mnie zawsze było, dlaczego odmienność poglądów wzbudza tak wiele emocji. Tu zaledwie dotknę jednej sprawy. Niektórzy przykładowo uważają, że większość ma rację. Ten pogląd doprowadził do stworzenia systemu demokratycznego. Mimo że nie zawsze większość ma rację, to trzeba było się do jej zasad stosować. Czasami podczas wyborów wygrywano niewielką liczbą głosów. Były sprzeciwy, ale w końcu ci z mniejszą liczbą głosów musieli znieść porażkę.

Na gotowaniu posiłków się nie znam. Nie czytam nic o jedzeniu, nie oglądam celebrytów kuchennych w telewizji, także dosyć licznych filmów o kuchniach na całym świecie. Ale czasem najdzie mnie chęć na dogodzenie sobie i wtedy już na samą myśl o czekającym mnie dobrym jedzonku ślinka mi cieknie. Oto moja propozycja. Czarna rzepa to jest to. Koleżanka kiedyś mnie poprawiła i powiedziała, że to nie rzepa, tylko rzodkiew. Niech będzie rzodkiew. Mnie tam wszystko jedno. Ważne, aby była świeża, twarda i soczysta. W marketach można się nadziać. Oni często mieszają stare i miękkie ze świeżymi,

twardymi. Zresztą nie tylko to warzywo. Krótko mówiąc, z rzepami to tak jak z ludźmi, stare i miękkie do niczego już się nie nadają. Rzepę trzemy na tarce. Można grubo i drobno. Jak kto chce. Bierzymy cebulę i krajemy. Grubo albo cienko. Jak kto lubi. Na patelnię wrzucamy smalec wieprzowy. Mnie starcza 1/8 kostki 200-gramowej. Nie zapominając o stopieniu najpierw smalcu, dodajemy cebulę. Podsmażamy. Ja lubię lekko przyrumienioną. Jak cebulka gotowa, wyłączam gaz, wsypuję na nią startą rzepę i mieszam, dodając trochę soli. Żadnych dodatków. Co najwyżej coś suszonego, naturalnego, nie zaprawionego chemią. Gotowe. Można zjeść na ciepło, można odstawić i zjeść na zimno. Jak komu odpowiada. Nie kombinować, nie przesadzać z nadto. Smacznego!

Po przegranym meczu Polaków ze Szkotami w listopadzie 2024 roku można było przeczytać wypowiedź Bońka „Today or never”. Czyżby chciał się pochwalić znajomością języka angielskiego? A może nieznaną znajomością języka polskiego. A może był jeszcze jakiś inny powód znany tylko jemu.

Przyszedł czas na wspomnienia o bezdomnych. Opiszę zwięźle dwa zdarzenia. W latach dziewięćdziesiątych minionego wieku często chodziłem na spacer z psami na pobliski stadion. Powoli niszczał. Szedłem asfaltową bieżnią i zauważyłem Żabę (to moja ukochana sunia) zostającą w tyle i co chwilę węszącą. Wołałem ją kilka razy, ale ona ciągle powracała i kierowała się w stronę porośniętych kamiennych resztek trybun. Zawróciłem. Idąc za nią, natknąłem się na człowieka leżącego na ziemi, głową w dół pochyłości. Przyjrzałem się i stwierdziłem, że nie żyje. Wyglądał na jednego z tutejszych licznych bezdomnych, twarz jednak była zszarzała. Trudno było go rozpoznać. Wróciłem do domu. Zadzwoiłem na policję. Przyjechała dość szybko. Poszliśmy na stadion. Opowiedziałem o okolicznościach znalezienia zwłok i odszedłem. Zastanawiałem się nad tym co się stało. Nie można wykluczyć, że biedak schodził z góry, upadł i uderzył się o kamienną ławę.

Kilka lat temu, idąc rano na przystanek tramwajowy, zauważyłem na ławce Adama, bezdomnego z kanału przy ulicy Zgrzebnioka, którego znałem od dwudziestu paru lat. Codziennie karmiłem jego kotkę przy włazie. Czasami tu przesiadywał sam bądź w towarzystwie kolegi. Po południu wracałem z przystanku tramwajowego i niedaleko ławki stały samochód policyjny i karetka pogotowia. Fragment skweru ogrodzony był białoczerwoną taśmą. Nic specjalnego nie widziałem. Coś mnie jednak tknęło, obróciłem się i zauważyłem za rozległym krzewem jakieś ciało leżące na trawie. W pobliżu stał policjant. Podeszedłem. Zatrzymał mnie. Tu nie wolno. Popatrzyłem w stronę zwłok i zaproponowałem mu obejrzenie ich. Być może uda mi się rozpoznać. Znam wszystkich bezdomnych w okolicy. Zgodził się. To był Adam. Podał jego nazwisko. Skądś już musiał się dowiedzieć. Potwierdziłem i wróciłem do domu. Nie mam pojęcia, co się w tym miejscu wydarzyło. To zaledwie nie więcej niż 30 metrów od ławki, na której rano siedział.

Niedługo wszystko będzie zautomatyzowane. Coraz częściej ludzie zastępowani są automatami. Wymyśla się jakieś dziwne urządzenia. Nie wiem już, ile ich na świecie działa. Tak jak innym, mnie też coś po głowie chodzi. Pomyślałem sobie, że wśród tak skomlikowanych ustrojstw wykonanie automatycznej kury nie powinna być problemem. wyszukiwarce Google wklepuję „automatyczna kura”. Są jakieś automatyczne poidła, drzwi, klapy, gniazda, karmidła i wiele innych ułatwień w hodowli kur. Ale automatycznej kury, jako takiej, znoszącej jaja, nie doszukałem się. Więc jest pole do popisu dla najprzeróżniejszych konstruktorów automatów. No to i ja główkuję. Myślę o takiej automatycznej kurze, która będzie znosić naturalne, prawdziwe jaja, a nie przykładowo szklane lub metalowe. I takie automaty, najlepiej na początek pojedyncze, urzędnicy, bo to oni decydują, gdzie i co ma w mieście stać, rozstawiliby w odpowiednich punktach. Kupujący

wrzuca złotówkę i wyskakuje jajko. Wrzuci 10 złotych, to według dzisiejszych cen „wyskoczy” 10 jaj (byleby się nie zbiły, bo to już raczej jajecznicza), najlepiej w opakowaniu. Tak widzę „automatyzowanie” świata. Wszyscy na tym skorzystają. Żal może tylko będzie żywych kur wypartych po latach przez automatyczne. Zaoszczędzi się im cierpień w klatkach. Dla przeciwników automatycznych kur, a ja do nich się zaliczam, proponuję alternatywne rozwiązanie. Wzorem powstających ostatnio specjalistycznych ogrodów zaproponowałbym ogród kurkowy. Coś podobnego do ogrodu lawendowego utworzonego przy szpitalu w Katowicach-Ochojcu. Mógłby nawet stanąć obok. Jest miejsce. Ogrodzony teren, powiedzmy wielkością zbliżony do wymienionego, porośnięty trawą, przeznaczony byłby dla kurek. W lawendowym ustawiono ule, a w proponowanym przydałby się kurnik, nieduży na parę kur. Do uli zbliżać się nie można, bo skutki mogą być opłakane, ale do kurek jak najbardziej. To bardzo inteligentne ptaki. Co do karmienia i znoszonych przez nie jajek, ktoś by musiał te sprawy uregulować. Najlepiej powinni się tym zająć społecznie okoliczni mieszkańcy, tak jak ogrodem lawendowym. Na podkradanie ekologicznych jaj byłoby wiele chętnych. Byle nie udostępniać ogródka kurkowego urzędnikom. Popaprańcy mieliby zakaz wstępu. Zaraz zaczęliby jajkom numery, kody i inne oznaczenia przyklejać, czyli tłumić obywatelskie inicjatywy. Co najwyżej mogliby poszczególnym kurkom nadawać imiona. Ciekawe, czy któraś z tych dwu propozycji znajdzie akceptację.

Dzień przed wigilią przesiadałem się na Centrum Przesiadkowym w Brynowie. Już od paru miesięcy nieczynne są wszystkie tablice świetlne informujące o odjazdach. Pytanie: Po co w ogóle zostały zainstalowane, skoro nie spełniają swojej funkcji? Przypomina mi to przystanki kolejowe wybudowane ostatnio w paru dzielnicach Katowic, na których hula wiatr i żadne pociągi pasażerskie nie przejeżdżają.

W listopadzie ubiegłego roku zaczął mi się pojawiać w komputerze tzw. niebieski ekran (Blue Screen of Death). Po paru wyłączeniach zajrzałem do Internetu. Nie jestem informatykiem, więc poprosiłem paru, a znam ich trzech, o naprawienie tej dosyć uciążliwej awarii. Co ją spowodowało? W Internecie nie sposób cokolwiek się dowiedzieć, ale to dosyć powszechne zjawisko. No i zaczęło się. Może być to, a może być jeszcze tamto. Przypominało mi to diagnozy lekarskie. Trzeba by zrobić takie badania, potem jeszcze inne, i tak bez końca. Najpierw było czyszczenie z kurzu, potem wymiana dysku twardego. Nic nie pomagało. No to wskazano na pamięć. Najpierw wymienić tzw. kość, potem drugą. Zajrzałem do porad internetowych. Tam można czytać przez tydzień, i dłużej. Mądrzących się mrowie. Najczęściej, jak wynika z komentarzy, bez skutku. Podobnie u lekarzy, choć u nich jest gorzej, bo najczęściej szkodzą zapisywanymi paskudztwami, czyli lekami. Tu przynajmniej moje zdrowie nie ucierpi, choć to też nie takie pewne. Jeszcze trochę i bez BSoD (to jego skrót) nie będę mógł żyć. Zobaczymy, co będzie po Nowym Roku.

Co to znaczy: częste spożywanie, kilkakrotnie na dzień, spożycie zbyt dużych ilości lub w umiarkowanych ilościach itp.? Żadnych konkretnych liczb.

Wpadłem przypadkowo, jak to zwykle bywa przy korzystaniu z wyszukiwarek internetowych, na pomysły bazarzy internetowych. Podam tylko jeden przykład: co należy dodawać do owsianki. I od biedy mógłbym akceptować te dodatki, chociaż pogubić się można w ich liczbie. Łatwiej można by wymienić te, których dodawać się nie powinno. Jak komu pasuje. Natomiast skutki oddziaływania ich na organizm ludzki to już nie wiadomo, czy śmiać się czy płakać. Po zjedzeniu podobno brzuch nie będzie już wzdęty, a nawet zrobi się płaski i to na cały dzień. Ponoć nawet talia będzie widoczna. Jelita też będą pracować niemal pełną parą i zostaną oczyszczone. Nie doczytałem się tylko, czy całkiem. Za to z pewnością całkiem

odgrzybią, i to cały organizm, i to nie byle czym, co zdumiewa, bo zwykłymi, a może niezwykłymi ziarenkami czarnuszki (nie podano, niestety, ile ich zjeść). Według innej teorii nawet jeden składnik – chodzi o przyprawę piernikową – może zmienić wszystko. Zdębiałem. Wszystko to znaczy co? Odporność to pewne. Ale czy wzmacniają odporność na tego typu bzdury, nie dowiedziałem się. Jestem pewny, że autorzy tych słów za często jedli owsiankę i za dużo do niej dodawali, i przeholowali tak, że im się wszystko poplątało. Na tyle, że zaczęli paplać, ile się da, tak żeby niosło się po sieci. Wspomniane przez nich suplementy nie tylko nie pomogły, a raczej zaszkodziły, być może jeszcze nie nieodwracalnie. Proponuję, aby już więcej niczego nigdzie nie dodawali. Więcej przykładów nie podaję, a owsianki z dodatkami nie jem, czego jednak nie odmawiam innym. Czy cokolwiek dodawać, czy nie, i ile, niech już sobie sami ludzie wybierają, bez sugerowania innych. Internetowi „doradczyci” to już istna plaga. Skąd się wzięła i dlaczego się rozpleniła na cały świat? Tu mądrych nie ma, więc zastanawiać się na ich genezę nie ma co.

Jedni leją się po mordach i jeszcze za to pieniądze dostają. I to jakie. Inni też się leją po mordach, tyle że w domach, na ulicach i w wielu innych miejscach. Niestety, nie tylko nic za to nie dostają, ale ich jeszcze, jak dobrze pójdzie, zakuwają w kajdanki, a jak gorzej, to zapuszczają. Łać trzeba więc w sposób zorganizowany, na pokaz, dla innych, a nie wyłącznie dla siebie, ot tak sobie, bo z tego żaden pożytek.

1 grudnia 2024 roku, południe. Rzuciłem pszenicę gołąbkom przed wejściem do Galerii Katowickiej, przy krawędzi jezdni. Zobaczyłem panią, która kładzie palec na ustach, uśmiecha się. Podeszedłem bliżej. Pokazała mi trochę pszenicy w garści, dając jakby do zrozumienia, że ona też je karmi. Rozsunęła zamek niewielkiej torebki, w której było więcej ziaren. Sypnąłem jeszcze trochę i oddaliłem się. Po chwili obejrzałem się i wróciłem do niej. Nawiązała się rozmowa. Okazało się, że to Ukrainka. Wyznała, że gołębie to miłość jej życia. Ja też je bardzo lubię, dlatego im pomagam. I tak rozmawiając poruszyliśmy temat chorych nóżek. Pokazała mi szczypczyki, które wykorzystuje do obcinania zapętlonych żyłkami bądź czymkolwiek innym palców. Pomyślałem sobie, przecież żeby to robić, trzeba najpierw gołębia złapać, a to nie zawsze jest takie proste. I nagle wypatrzyła gołębia ze skrępowanymi nóżkami, chodzącego z trudnością między pozostałymi wokół nas. Spytała się, czy mam więcej pszenicy. Oczywiście. Poprosiła, abym sypnął pod nasze nogi. Zapamiętała, który to gołąb. I kiedy wszystkie rzuciły się na ziarno, capnęła go bez problemu. Podniosła i zobaczyliśmy palce splątane mnóstwem bardzo cienkich nici. Poprosiłem o szczypczyki, aby pomóc je rozciąć. Nie było to takie proste, ponieważ nici wrzynały się w palce. Trzeba było ostrożnie je przecinać i wysupływać spomiędzy nich. Działo się to kilka metrów od wejścia do galerii na oczach wielu przechodniów. Zabieg zakończył się powodzeniem, wszystko wyczyściliśmy. Zaproponowałem zrobienie zdjęcia gołębia w jej dłoniach. Zgodziła się. Przeszliśmy parę kroków w miejsce, gdzie padały promienie słoneczne. Pstryknąłem kilka razy. Dłonie w górę i gołąbek pofrunął wzdłuż ulicy Stawowej. Byłem zdumiony jej postawą. Miała wprawę, więc na pewno pomogła wielu ptakom. Już pożegnaliśmy się, ale ponownie wróciłem do niej spytać się, czy ma pocztę elektroniczną, bo chciałbym jej przesłać zdjęcie na pamiątkę. Zostawiłem swój adres i kiedy wróciłem do domu, w krótkim czasie pojawiła się wiadomość od Maryny (bo tak było jej na imię). Wysłałem fotki. Jak widać, współpraca ukraińsko-polska, wprawdzie tylko tyciu, tyciu, mniej niż symboliczna, zawsze jednak coś, pozwoliła pomóc gołąbkowi wyjść z opresji. Maryna była cała w skowronkach. Może wspomnę jeszcze inną sytuację sprzed kilkunastu lat, kiedy na ulicy Piotra Skargi, na schodku przy dawnym Supersamie, zobaczyłem siedzącego mężczyznę trzymającego w dłoni gołębia i dłubiącego nożykiem między palcami. Zaciekawiony, co on robi, podeszedłem, przykucnąłem i nie mogłem uwierzyć. Gołąb miał nóżki oplecione żyłkami, a on próbował je rozcinać.

Widać było ciekącą krew. Chwilę rozmawialiśmy. Pierwszy raz coś takiego widziałem. Chciałem mu pomóc, ale powiedział, że da sobie radę. Takich ludzi spotyka się bardzo rzadko.

Szczyty. Szczyty nad szczytami. Niebawem będzie ich więcej niż w Himalajach. Choć nie są takie same, to pod jednym względem podobne. Nic się na nich nie zmienia. Widuje się je na filmach, czyta o nich w książkach. Niektórym udało się na niektóre wejść. Na te niższe weszło więcej szczęśliwców, a na te najwyższe tylko nieliczni. To oczywiście szczyty górskie. Słowniki przypisują temu słowu jeszcze inne znaczenia. Mnie zainteresowały nie szczyty głupoty, bo i takie się zdarzają, według niektórych nagminnie, ale o niej sporo już wzmiankowałem, więc pominę, a zajmę się szczytami organizowanymi przez różne państwa, czyli spotkaniami najwyższych władz. Takie też się zdarzają, i to wcale nie tak rzadko. Trudno zdecydować, które są wyższe. To jak zwykle zależy od punktu widzenia. Z dołu to i jedno, i drugie nie bardzo widać. Ale już jak się ktoś na nich znajdzie, to widzi. Ze szczytu górskiego widać wszystko wokół. A czy ze szczytów, na którym spotykają się najważniejsi światowi przywódcy, widać cokolwiek? Niby widać, ale ich uczestnicy przymrużają oczy, tak jakby chcieli wiedzieć i widzieć mniej. Taka ich ułomność. Doniesienia są sprzeczne. Szczyty NATO, G-7, G-20, Grupy Arraiolos, Klimatyczne COP i inne. I tak sobie „szczytują” co roku bądź parę lat, i nie mogą przestać.

Namnożyło się dziwolągów językowych. Istny szal. Ludzie nie mają co robić, nudzą się i wymyślają jak zwykle androny. Co bardziej mądrzy, albo raczej mniej, muszą coś zaproponować. Ciekawe, że inni się do tego przyłączają i rozłazi się to po całym Internecie. Ministra czy może ministerka, a może ministrzyni bądź ministrzyca, albo jeszcze inaczej? Propozycji jest wiele. Jedni są za, a inni przeciw. Jakżesz mogłoby być inaczej. Są też tacy jak ja, pukający się w czoło, ale o tym pukaniu przy innej okazji.

Już nie mogę nadażyć za zmianami językowymi. Jak się przyczepimy do np. zawodów i zaczniemy feminizować ich nazwy, to będzie kupa śmiechu. Panie są w ofensywie, więc jeszcze nic straconego, może dożyję i pęknę ze śmiechu. A taki koniec niejednym się marzy. Gościni, robotniczka, premiera, naukowczyni, dziekana itp. pań coraz więcej. Jeśli „pójdziemy” do wojska, to tam pojawi się niebawem np. poruczniczka albo kapitana czy kapitanka. Dopiero co dowiedziałem się, że do studia dodzwoniła się widzka. Językoznawcy i tak wszystko przyklepią i powiedzą: można i tak, i tak, czemu nie. Gdyby niektórzy sprzeciwiali się zmianom, to i tak nic by to nie dało, więc akceptują.

Przez dziesięciolecia zmiany następowały, powiedziałbym, bardziej pełzająco, a teraz przyspieszyły. Przez lata mówiono, pani minister i nikomu to nie przeszkadzało. Jaki jest powód zmian w nazewnictwie zawodów? Rozkładałam ręce. Co na ten temat Rada Języka Polskiego? Rada Języka Polskiego przy Prezydium PAN przedstawiła swoje stanowisko „w sprawie żeńskich form nazw zawodów i tytułów” w latach 2012 i 2019, uzasadniając ich używanie m.in. „równouprawnieniem kobiet w zakresie wykonywania zawodów i piastowania funkcji”. Przyznam się, że mnie są te zmiany obojętne. Zaciekawilem się tylko, kto zasiada w tejże Radzie. Okazało się, że mniej więcej połowa to panie. Czyżby autorytetki przekonały autorytetów do swojego zdania? Nie sądzę. Więc coraz bardziej skłaniam się do wskazania jako przyczyny nudy. Nie takiej zwykłej, ale ogólnonarodowej. Wymyśla się niestworzone rzeczy nie tylko w języku, lecz prawie we wszystkim. I to nieprawda, że tylko dzieci w czasie deszczu się nudzą. Dorośli też. I nie tylko podczas deszczu, ale i bez niego. To może być tylko nuda.

Jeszcze dla odmiany. Jak Katowice mogą być „dla odmiany” to *cookies* tym bardziej. Katowice z pewnością nie są tak popularne jak ciasteczka. A do tego jeszcze *cookies* dbają o

mnie. Oto wybrane przykłady: Drogi Użytkowniku; Witamy. Witryna prosi..; Cenimy prywatność użytkowników (tu małą literą); Drogi kliencie; Dbamy o Twoją prywatność; Szanujemy Twoją prywatność; Cenimy Twoją prywatność; Szanowna Użytkowniczko, Szanowny Użytkowniku, itp. No proszę. Ja was również cenię, szanowne „Ciasteczka”. Jednak im dalej brniecie, tym gorzej. W końcu tak długich zapewnień o bezpieczeństwie i innych duperelach, zwłaszcza natrętnych, uporczywie pojawiających się, upierdliwych reklamach nie mogę strawić. Przestaję was czytać, a całkiem na końcu czyszczę, jeśli mi tylko wpadniecie do komputera.

Czy Izrael jest w Europie, czy w Azji? A Kazachstan? A Turcja? A kraje kaukaskie? Nawet Rosja „jedną nogą” jest w Europie, a „pozostałymi” w Azji. Ograniczmy się tylko do sportu. Wszystkie wymienione kraje biorą udział w różnych rozgrywkach europejskich. I tu następuje naginanie. Temat to ograny. Zaliczanie takiego czy innego kraju do nich opiera się bowiem na poglądach, a nie na twardszym gruncie geograficznym. A że poglądy wszędzie są różne, no to i różne przydziały. Raz względy historyczno-kulturowe, innym razem polityczne, a tak realnie, to co tu dużo mówić, zwykłe interesy. Kierowanie się w takich sytuacjach poglądami czy tym podobnymi odczuciami to po prostu przekręcanie. Podstawą powinno być położenie geograficzne. A kim się kto czuje, to jego prywatna sprawa. Jest i tak, że niewielkie skrawki są w Europie, a znakomita większość powierzchni w Azji. Czy uwzględnianie powierzchni takiego kraju europejskiego jak Rosja i podawanie wówczas powierzchni około 17 milionów kilometrów kwadratowych to dobry przykład? Widać to na mapach. Rosja na nich zaliczana jest do krajów azjatyckich i europejskich, zawsze jednak z obiema częściami, co wygląda raczej śmiesznie.

Można przyjąć, że te wszystkie podziały, granice i udziały takich czy innych państw w europejskich lub azjatyckich rozgrywkach to kwestia umowna, do uznania w poszczególnych organizacjach. Czyli do wyboru. Działacze dyskutują, czy tak, czy nie. Chyba głosują wtedy? Bierzemy Gruzję czy nie? Jedni biorą ją w poczet swoich członków, inni nie. Czyli wszystko sprowadza się z jednej strony do odczuć, a z drugiej do interesów. Tu idą one w parze.

Karol Darwin podobno twierdził, że wśród zwierząt osobniki silne przetrwają, a słabe nie. Pytanie tylko, czy ludzie to zwierzęta, jak chcą jedni, czy nie, według innych. Jakkolwiek by nie było, uważam, że obecnie Ziemię zasiedlają dalej stwory silne i słabe, a nawet dałoby się wyróżnić grupę mieszaną, czyli tzw. słabosilnych. Przeważają raz jedni, raz drudzy. Ma się rozumieć, trzeba by ustalić, co to znaczy osobnik słaby, a co silny. Niby powinno to być proste, a jednak takie proste nie jest. Gdyby przyjąć, że silne wyprą „bezsilnych”, to dzisiaj pozostałoby już tylko silni. A tak przecież nie jest. Nie wyobrażam sobie świata złożonego wyłącznie z silnych. Silny może rządzić tylko wtedy, gdy ma pod sobą słabych. Gdyby ich nie było „siłacze” wycięliby się w pień. Taki wniosek można wyciągnąć z dotychczasowej historii. Bez słabych nie byłoby silnych, a bez silnych słabych. Muszą być jedni i drudzy. Słabe okazy nie wymarły. Co więcej, moim skromnym zdaniem silnych jest niewiele, a słabych coraz więcej. Te fizycznie słabe osobniki podtrzymuje ochrona zdrowia mająca w tym swój ukryty, albo i nie, cel. Ale i tak ci nieliczni dają sobie radę z tymi, których jest od groma, i jakoś wszystko tak się kręci od niepamiętnych czasów. Zmian nie widać. Przynajmniej w tak wąskim zakresie żadnej ewolucji nie było. Jakies nowe gatunki też nie powstały. Wszystko po staremu.

W listopadzie 2024 roku pisali o nadchodzącej epidemii, wymieniając Covid-19, grypę i RSV. Nie jestem specjalistą od epidemii. Mamy ich w kraju wystarczająco dużo. I epidemii, i specjalistów. Coś mi się wydaje, że gdzieś tam w tle, a może nawet na samym

przodzie, znajduje się od dawna tzw. epidemia smartfonowa. Pochylone głowy pracują dosyć intensywnie od jej początku, czyli od zarażenia. Na ogół bowiem tak się wszystkie epidemie zaczynają. Na efekty nie trzeba było długo czekać. To spowodowało narastającą przewlekłość i musimy ją do tego typu chorób zaliczyć. Jeśli przewlekła, to medycyna konwencjonalna nie da sobie z nią rady. A zakwalifikowanie jej do przewlekłej chyba wyklucza nazwanie epidemią. Ale leczyć trzeba. Od czego są lekarze. Znowu stanęli przed wyzwaniem. I to jakim. Światowym. Jedna strona medalu to znane od jakiegoś czasu problemy psychiczne, a druga dopiero przed nami. Doczytałem się gdzieś o coraz częstszych tzw. esemesowych szyjach. Szyje były do tej pory różne. Najczęściej wymieniano długie i krótkie. Niektórzy też dzielili je na czyste i brudne. Esemesowych jeszcze nie było. Nie przypominam sobie. Szyje poddały się esemesom w latach dziewięćdziesiątych. Powoli się do nich dopasowywały i teraz w pełni rozkwitły. Są naturalnie tylko drobną cząstką choroby smartfonowej obejmującej setki razy większą populację niż jakiegokolwiek inne chorobą. Czy można się z niej wyleczyć? Nie. Odłączenie smartfonów (swego rodzaju sztucznych mózgow) od tych kiwających się na szyjach jest niewykonalne, choćby z tego powodu, że padną i jedne, i drugie. Raczej te drugie. Na tak gigantyczny, powiedziałbym, rozmiar globalnej pandemii powinno być „uszyte” nowe słowo. Amerykanie na pewno je wymyślą. A może już to zrobili?

Automatyzacja to temat na dzisiejsze czasy. Proponuję, aby twórcy przeróżnych automatów popracowali nad skonstruowaniem takiego, który pomógłby nieprzebranej już masie ludzi ułatwić życie, ograniczając latanie od laboratorium do laboratorium, aby się poddać chyba już tysiącom najprzeróżniejszych analiz. Po sobie wiem, jaka to uciążliwość zarówno fizyczna, jak i psychiczna. Wszyscy lekarze i laboranci twierdzą, że to konieczne dla naszego dobra, mając na myśli nasze organizmy, które pustoszą niepozorne wiruski, bakterijki i grzybeczki. Nie wspominają jednak przy tym o zagrożeniach związanych z pustoszeniem, a może lepiej – ogałaniem naszych kieszeni. Te im lepiej doładowane, tym dla nich bardziej pożądane. A te już pustawe są penetrowane bezlitośnie, do cna, i to czasami tak, że nic w nich nie zostaje. To jeden z powodów opuszczania przez na ogół schorowanych osobników tego typu pracowni. Nawiasem mówiąc, wspomniane maleńkie stworzonka też nas ogałają, rujnując zdrowie, a pośrednio, nie da się ukryć, zasoby finansowe. Dlatego ratunkiem byłoby skłecenie automatu, który pozwoliłby wymienione dolegliwości ominąć. Marzyłaby mi się kabina, w miarę obszerna, w której powstałbym jakiś czas albo posiedział (to zależy, czy wytrzymałbym długie stanie). Tu mogę zapewnić, że gdyby taki automat działał, to stałbym godzinami. Raz a dobrze. Niejedni by tak chcieli, zamiast włóczyć się latami po dziesiątkach placówek, oferujących im badania, często z miernymi, a nawet fałszywymi rezultatami. Po wyjściu z kabiny otrzymywałoby się wszystkie wyniki możliwe do uzyskania przy dzisiejszej wiedzy naukowej. Moim zdaniem stworzenie omawianego automatu nie powinno nastręczyć problemu coraz przecież cięższym mózgom. Czy jednak te mózgi chciałyby się przestawić na skonstruowanie takiej maszyny dla dobra całej ludzkości? Nie. Padłyby wszystkie laboratoria zatrudniające miliony ludzi. Lekarzy też by ubyło. Część ich pracy przejęłyby bowiem także automaty, które już ich „podmieniają”. Warto spróbować. I to byłby rzeczywisty wkład nauki w polepszenie i przedłużenie ludzkiego życia. Na razie idzie to w odwrotnym kierunku.

Niewytłumaczalne zjawiska zwane też paranormalnymi, a czasami dziwnymi, to jeden z tematów walczonych na wszystkie sposoby. Nie chcę go dalej maglować, ale tak całkiem nie ominę. Nie wypada. On jak najbardziej pasuje do różności. Wymieniam tylko niektóre: kłątwy, przepowiednie, jasnowidztwo, radiestezja, bioenergoterapia, astrologia, okultyzm, mistycyzm, parapsychologia, magia, czary, wróżbiarstwo, złe duchy, stygmatyzm, telepatia, reinkarnacja, egzorcyzmy, opętania, cuda, duchy, lewitacja, demony, objawienia,

spirytyzm, nawiedzenia, ezoteryzm, psychokineza, apokalipsa, hipnoza, prorocтва. Uff, zmęczyłem się. To nie wszystkie. Jest ich tak dużo, że trudno uzbierać. Jedni w nie wierzą, inni nie. Co nieco od siebie dodam, ale ekspertem w tych sprawach nie jestem, więc jedyne co mogę, to wyznawcom przywołanych dziwów nad dziwy „dolożyć”.

Na początku lat osiemdziesiątych XX wieku pracowałem w Wojewódzkim Ośrodku Badań i Dokumentacji Zabytków w Katowicach. To taki „pączek”, który wraz z innymi instytucjami obrastał Urząd Wojewódzki niemogący tworzyć u siebie nowych etatów. Zostałem zatrudniony przez wojewódzkiego konserwatora zabytków mgr. Adama Kudłę. Warunek był jeden, miałem się zajmować zarówno zabytkami archeologicznymi, jak i zabytkami techniki. O tych drugich nie wiedziałem wiele. Ponieważ ochrona zabytków archeologicznych „leżała” całkowicie z powodu jej zaniechania przez ówczesnego konserwatora zabytków archeologicznych, ochoczo przystąpiłem do rozpoznania zasobów zakresu zabytków techniki. Podjąłem współpracę z różnymi osobami opracowującymi ewidencję obiektów ruchomych i nieruchomych na kopalniach i w hutach (to m.in. Aleksander Saładziak, Marta Wirska-Parachoniak, Krystyna Cygorijni). Zorganizowałem także konferencje poświęcone dziedzictwu zabytków górnictwa, przy współudziale Ministerstwa Górnictwa i Energetyki, Stowarzyszenia Techników i Inżynierów Górnictwa (Bronisław Rudnicki), Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze (Krystyna Barszczewska) oraz Ministerstwa Hutnictwa i Przemysłu Maszynowego i Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Przemysłu Hutniczego (Józef Wróblewski). Wcześniej objechałem wszystkie interesujące nas kopalnie i huty. Nie mam na celu omawianie tu wielu spraw związanych z zabytkami techniki w tamtym czasie. Wspomnę jedynie o dwóch. Pierwsza dotyczy Adama Kudły, którego zapamiętałem jako najlepszego konserwatora wojewódzkiego. Niedawno zrobiłem trochę zdjęć budynku dyrekcji, pozostałości dawnej Huty Metali Nieżelaznych w Szopienicach. Podczas jego oglądania naszły mi wspominki. Pewnego razu (było to chyba w 1982 lub 1983 roku) udaliśmy się razem obejrzeć hutę. Przeszliśmy dokładnie wszystkie obiekty. W oczach mam jeszcze obraz w miarę dobrze zachowanych pieców muflowych, ale powoli niszczących. Konserwator opowiadał o nich z wyraźną troską, ponieważ planował stworzenie w tym miejscu skansenu. Jego projekt omówił na jednej z konferencji w Sztokholmie (został opublikowany artykuł). Na koniec wizyty wstąpiliśmy do głównego budynku i tam na chyba drugiej kondygnacji czekał już na nas pracownik. Rozpostarł na dużym stole ponemieckie projekty i plany na foliach. Skarbnica wiedzy o hucie. Co się z nimi stało, nie wiem. Druga sprawa to konferencja w siedzibie Ministerstwa Górnictwa i Energetyki przy ulicy Powstańców. Skrótowo powiem, że doszło na niej do podziału poglądów. Jedni chcieli chronić wszystko, a inni wytypować do ochrony niektóre urządzenia i budynki. Po rozmowie na ten temat z dwoma pracownikami ministerstwa zostałem poproszony do dyrektora jednego z departamentów. Tam usłyszałem, że ministerstwo może pomóc w zachowaniu dwóch lub trzech zespołów zabytkowych. Na zabezpieczanie wszystkiego nie mogą się zgodzić, choćby z braku funduszy. Kończąc, mogę tylko stwierdzić po ponad czterdziestu latach, że po Hucie Metali Nieżelaznych w Szopienicach zostały tylko główny budynek, wieża ciśnień i pojedynczy komin. Znacznie lepiej poszczęściło się niektórym reliktom górnictwa.

Muszę coś nowego wymyślić. Wszyscy się tym zajmują i wymyślają cokolwiek, to i ja się do nich przyłączę. To RECEPTOZA. Najpewniej nowy wyraz, bo nie znalazłem go w żadnych słownikach. Są recepty i receptory. Receptozy nie ma. Google też nie pomógł w wyszukiwaniu. Nie sugerowałem się językiem angielskim. Niedawno w języku polskim pojawiła się betonoza. Znam też cytozę, punktozę i inne. To takie pejoratywne określenia różnych ludzkich działań. Można się jednak domyślić, że utworzone przeze mnie słowo ma

coś wspólnego z ochroną zdrowia. Oczywiście. A uściślając, z lekarzami. Nie mógłbym policzyć recept przypisywanych mi przez medyków różnych specjalności i nie pamiętam, abym opuścił przychodnię, gabinet czy jakiś instytut medyczny bez recepty. Tak grzebię w pamięci i przypomniałem sobie, że zaledwie raz mi się to udało u okulistki. Nie twierdę, że wypisywanie recept jest niepotrzebne i niezasadne. Zwracam tylko uwagę, że jest ono nadmierne. Podam przykład wszystkim znany dotyczący antybiotyków. Stosuje się je zbyt często, z fatalnymi czasami skutkami dla zdrowia, a przecież nie można ich kupić bez recept lekarskich. A więc receptoza podobnie jak wspomniane betonoza i inne, zaliczyłbym do wyrazów używanych w kontekście negatywnym.

Panie ciągle domagają się dla siebie większych praw. Jedną z dróg, aby cokolwiek w tej mierze osiągnąć, jest wdrapanie się na wyższe stanowiska okupowane w znacznej większości przez płęć brzydszą. Trudno zrozumieć, dlaczego panowie są tacy niedobrzy i nie chcą ustępować. Pomijam kasę, która paniom też się należy. Poza tym wolałbym oglądać choćby na zdjęciach piękno, a nie brzydotę. Okazy tej gorszej jakby, z grubsza, połowy płci nie są często przeze mnie akceptowane, a i internauci wyrażają o nich niezbyt pochlebne opinie. I to one pchają się codziennie na pierwsze strony gazet bądź migają w czołowych portalach internetowych co chwilę. Panie mają być może inne zdanie, co naturalne, bowiem prawdopodobnie jedna płęć woli oglądać drugą, a nie tę z której się wywodzi. Przykładem jest magnes. Dwa te same bieguny się odpychają, a przeciwstawne przyciągają. W ludzkim podejściu do tych spraw bywają wyjątki. Pytam też: czy piękna część rodzaju ludzkiego woli spoglądać na brzydszą, czy brzydsza na piękniejszą. Każdy dokonuje wyboru, kierując się osobistymi upodobaniami. Jak widać, ja wolę, że tak powiem, „magnesowo”, i nic na to nie poradzę.

Chciałem napisać: dawniej to były cyrki, nie takie jak dzisiaj. Ale oglądając i słuchając różnych wiadomości (koniec stycznia 2025 roku) zreflektowałem się i poprawiam: dzisiaj to są cyrki, nie takie jak dawniej. To najwyższej klasy rozrywka. W niegdyśszych cyrkach wykorzystywano głównie zwierzęta. Dziś już na szczęście to się chyba skończyło. Jednak pustki w rozrywce nie może być, dlatego zwierzęta kiedyś występujące na arenach cyrkowych zastąpiono tzw. zwierzętami politycznymi. Tak jak dawniej ludzie oglądający tego rodzaju przedstawienia nie wiedzieli, czy płakać (z powodu dręczonych zwierząt), czy śmiać się z powodu licznych gagów na tych imprezach prezentowanych. Igrzyska ponownie zyskują na popularności. Chociaż publiczność inna, to znowu nie wiadomo, czy dusić się ze śmiechu, czy zalewać się łzami, patrząc na przednią, albo i nie, ekwilibrystykę (mam na myśli i słowa, i czyny) osób grających główne role w spektaklach proponowanych publiczności. Ta już jest nie tylko zdezorientowana, ale także zniesmaczona, a być może pukająca się w łepetynę.

Kończąc tę część kontynuuję pojedynek „majtkowy”. Wyszedł z kanału stadionowego Ronaldo. I niemal zaraz zapachniało. To kwiaty goździków pokrywają całe majtki tego równie znakomitego jak Lewandowski, a może i lepszego napastnika. Nie będę się spierał, który wyśmienitszy. Podobnie nie będę dochodził, czy ładniejsze są kwiaty maków, czy goździków. Jedni lubią maki, inni goździki, tak jak jedni wolą Lewandowskiego, a inni Ronaldo. Mak to jeden z symboli narodowych Polski, a goździki Portugalii. Stąd zrozumiałby był wybór tych pięknych kwiatuśzków na spotkanie międzypaństwowe. Co ciekawe, oba są czerwone (portugalskie też białe). No i wyszli. Stadion szalał. Petardy, strzały, świece dymne, huk niebywały. Nieprawdopodobna euforia i tzw. meksykańska fala. Po wysłuchaniu hymnów piłkarze rozbiegli się po boisku. Oczywiście, że i pozostali reprezentanci kraju mieli majteczki ozdobione odpowiednimi kwiatami. Co jednak było odmienne, to to, że kapitanowie Lewandowski i Ronaldo mieli tych kwiatów mniej, ale były większe, dla

odróżnienia od kwiatów na majtasach kolegów z reprezentacji. Mecz był oczekiwany przez wielu kibiców, ale wynik tego spotkania raczej ich nie interesował tak bardzo. Na pierwszy rzut oka i słuch było wiadome, że znacznie większa ciekawość skupiała się na gatkach z założonymi na nie dłuższymi, tradycyjnymi już, ale przezroczystymi tym razem szortami, sięgającymi nieco powyżej kolan.

Czy majtki mogły zaważyć na wyniku? Mogły. Padł jednak remis. Po gołu strzelili z karnego i Lewandowski, i Ronaldo. Można też uznać że sprawiedliwości stało się zadość. Gra była wyrównana. Nikt do nikogo nie miał pretensji, zaś majtkowe kwiatki przypadły do gustu kibicom obu płci. Oklaskom nie było końca. Wszyscy opuszczali stadion zadowoleni. Myślę, że warto takie stroje wprowadzić. Przyciągną na trybuny i przed telewizory tłumy fanów. To będzie doskonała promocja, a i kasa zacznie pęcznieć ku radości właścicieli boisk, organizatorów meczów, trenerów, piłkarzy, WAGs i wielu innych.

Napisał zimą 2025 roku Eugeniusz Tomczak

© Copyright 2025 by Eugeniusz Tomczak